

O targu staroci, ekologii i stosunku do przedmiotów starych

ABSTRACT. Hendrykowska Małgorzata, *O targu staroci, ekologii i stosunku do przedmiotów starych* [About antique markets, ecology and the attitude towards “old” objects]. “Images” vol. XXXI, no. 40. Poznań 2022. Adam Mickiewicz University Press. Pp. 127–135. ISSN 1731-450X. DOI 10.14746/i.2022.40.07.

The term ‘flea market’, which we have now replaced with the more neutral ‘antique market’, has been known in Europe since at least the end of the 17th century. Its meaning and function have evolved over the centuries. Initially, the things gathered there were intended for the poorest people, who were able to buy the basic items they needed for daily living there cheaply. From the mid-19th century, flea markets became the focus of interest for collectors. Today, they fulfil a slightly different role. This is linked to a change in attitude to ‘old’, worn-out, broken and unfunctional things, to ‘junk’. This is sometimes associated with an environmentally friendly attitude. It is becoming fashionable to give objects a second life by transforming them, giving them a different meaning and function, sometimes creating original works of art through them, but this is not the only expression of a change in attitude towards discarded objects. The public visiting antique fairs is looking for unique, but imperfect, often worn-out objects with traces of use among the “rubbish,” which most often comes from the flats being emptied. Once introduced into the everyday surroundings of their new owners, they will contradict the unified world of objects that constitute the iconosphere of modern life. It cannot be ruled out that the interest in what until recently was considered something of rubbish dump is connected to the changes in everyday life, the acceleration of everyday existence that we have all experienced in recent years. Times of exceptionally rapid globalisation, the expansion of electronic media, which have revolutionised communication between people, often stripping it of personal contact, may translate into an attitude towards these “junk” objects. Perhaps this is how the fear of losing traditional, “old” values is expressed, the desire to preserve a piece of history and to establish a special relationship, based on imagination and empathy, with the owner of the discarded object.

KEYWORDS: antiques market/ marché aux puces, ecology, collecting, media creation, antiques, unification, saving history, recycling, sustainability, usability, the iconosphere of everyday life, testimony to individual existence

Chyba nikt nie ma wątpliwości, że określenie „pchli targ” (franc. *marché aux puces*, ang. *flea market*, niem. *Flohmarkt*, wł. *mercato delle pulci*, hiszp. *mercade de pulgas*) ma związek z ilością odwiedzających targowisko ludzi. To wersja elegancka, eufemistyczna. W XVII wieku w Paryżu, w którym powstały pierwsze tego rodzaju bazyry sprzedające stare, zużyte rzeczy, od początku miało to związek ze stopniem „zużycia” kanap, foteli, pluszowych poduszek... Dziś dużo częściej używamy określenia „targowisko staroci”, a zmiana ta ma ścisły związek z przemianą, jaka zaszła w naszym stosunku do rzeczy „starych”, „używanych”, „po kimś”, „z trzeciej ręki”.

Współczesne osiadłe, a nie okazjonalne, wielkomiejskie targi staroci to mikromiasta, mikrospołeczności, które mają swoją elitę – handlarzy w osobnych sklepach, budkach, eleganckich oszklonych

pasażach i pariasów handlujących z gazety rozłożonej na chodniku. Takim najbardziej zróżnicowanym „miastem-bazarem” jest największy w Europie *marché aux puces* w Paryżu. Znajdziemy tu i autentyczne XVIII-wieczne antyki, secesyjne żyrandole, starodruki, oryginalne plakaty z XIX wieku eksponowane w eleganckich oszklonych gablotach, militaria z Wielkiej Wojny, a obok ich niezliczonych wersji kopii i podróbek mocno zdekompletowane zastawy stołowe sprzed dwudziestu lat, pojedyncze filiżanki, solniczki, noże i łyżeczki, cukiernice nadgryzione zębem czasu i nieuwagą właścicieli, kubki, współczesne kryminały rozkładane na płachcie wprost na chodniku. Rzecz ciekawa, to właśnie ten najbardziej różnorodny i miejscami wysublimowany bazar zachował swą dawną nazwę *marché aux puces* / targ z pchłami, która upowszechniła się w całej Europie.

Nie interesują mnie w tym miejscu przedmioty wykwintne, stoliki z perłową inkrustacją sprzedawane przez antykwariuszy, angielskie linoryty i statuetki z marmuru i brązu. Ów wykwint autentyczny lub podrobiony (choć szeroko reprezentowany) jest raczej dodatkiem do tego, co jest prawdziwym „targiem z pchłami”. Antykwariusze to elita, którą omijają szerokim łukiem prawdziwi klienci targów staroci.

Kim są owi „prawdziwi klienci”? Najbardziej spauperyzowaną grupą społeczną poszukującą możliwie najtańszych przedmiotów użytkowych: garnków, sztućców, talerzy? Na pewno nie, na targach staroci nie jest tanio. Tanie towary użytkowe kupuje się dziś w chińskich sklepach. Kolekcjonerami? Czasami. Szansa bowiem znalezienia naprawdę wartościowego przedmiotu na pchlim targu jest raczej niewielka. Sprzedawcy zanim przywieźli tu swój towar odwiedzili już z nim wszystkie śródmięskie antykwariaty. Czego zatem szukają tłumy ludzi na sobotnio-niedzielnym targu? Jakie stoiska i dlaczego cieszą się największym powodzeniem? O tym za chwilę.

Ogromny wpływ na stosunek do przedmiotów „po przejściach” miała wyraźna od kilku lat moda wykreowana przez media i strony aukcyjne w internecie. Przyczyniły się do niej także programy telewizyjne takie jak „Na ratunek starociom”, „Łowca staroci”, „Łowcy staroci – renowacje”, „Gwiazdy lombardu”, „Australijscy zbieracze”, „Aukcje w ciemno”, „Kto da więcej”, w których cenione są przede wszystkim „przedmioty z historią” – zaśniedziałe, ze śladami rdzy, z łuszczącą się farbą, innymi słowy świadczące o ich wieku i użytkowaniu. Zwłaszcza brytyjski program „Łowcy staroci” („Salvage Hunters”, Discovery Historia), w którym dawny uliczny handlarz Drew Pritchard, a obecnie właściciel imperium handlującego w internecie starymi przedmiotami, podróżuje nie tylko po Wielkiej Brytanii, lecz również po Europie, szukając między innymi na pchlich targach ciekawych przedmiotów z przeszłością: od maskotek do kompletnego wyposażenia XIX-wiecznej apteki.

Dawny uliczny handlarz stał się nie tylko bardzo zamożnym przedsiębiorcą, lecz także znawcą antyków. Jego program pokazywany jest w całej Europie, a także w Rosji. Czy to jego sukces zainspirował

wielu mobilnych handlarzy do przywożenia np. na Koło (warszawskie targowisko staroci) przedmiotów z likwidacji mieszkań w Niemczech, Belgii, Holandii czy we Francji? To właśnie ta „dziedzina” handlu – przedmioty z likwidacji mieszkań, transportowane w dziesiątkach kartonów po bananach, upchane przypadkowo i byle jak cieszy się największym powodzeniem. Z zapamiętaniem grzebią w nich uczniowie i studenci, gospodynie domowe i kolekcjonerzy, inni handlarze... i wysublimowani intelektualiści. Czego szukają?

Programy telewizyjne nie wykreowały zjawiska popularności pchlich targów. To raczej pochodna zainteresowań i zmiany stosunku wielu ludzi do przedmiotów starych, którą wiążę z – najogólniej rzecz ujmując – przemianami zachodzącymi w umownie przyjętym XXI stuleciu.

Myszkowanie po graciarniach nie jest niczym nowym. Na początku XIX wieku we Francji była to w głównej mierze domena marginesu społecznego nieposiadającego własnego majątku. Tym najbardziej cierpliwym szperaczom udawało się niekiedy zdobyć zaskakująco bogate zbiory. Zbiegło się to z narodzinami kolekcjonerstwa. „Okolo 1840–1845 daje o sobie znać efekt mody. Mieszczanie przypuszczają szturm do sklepików ze starociami. To nowego rodzaju zachowanie zostaje skodyfikowane. Odwiedziny w sklepie z antykami, cierpliwe szperanie, poparte nowo zdobytą wiedzą w tym zakresie, podniesione zostają do rangi rytuału. Monarchia lipcowa stanowi złoty wiek gabinetu «archeologii», domowego muzeum, obojętnego na wartość rynkową eksponowanych dzieł sztuki. Kolekcjoner [...] ma ambicję «ratowania historii» i nie myśli wcale o odsprzedaży”[1].

Kolekcjonerstwo, nawet w połowie XIX wieku, zakładało jednak pewien porządek zbioru – nastawienie np. na określony styl, okres historyczny, temat, podobny rodzaj przedmiotów, zdobywanie wiedzy o artefaktach. To coś zupełnie innego niż poszukiwanie bliżej nieokreślonego przedmiotu w stercie rzeczy definitywnie odrzuconych, niepotrzebnych, zakwalifikowanych do kategorii „śmieci”.

Jest rok 1932. Siegfried Kracauer, przepychając się wśród berlińskich bożonarodzeniowych straganów na targowisku staroci, pisze: „Sprzedawane są tu rzeczy, które zwykle nie znajdują własnego miejsca, chyba, że w półmroku pasażów. Niepotrzebne rupiecie, nie nadające się do poważnych zajęć, co najwyżej do rozrywki. Tu w mieście straganów cała ta zgraja może wyjść na światło dzienne. [...] między tymi bezużytecznymi artykułami rozpychają się mydła, krawaty, perfumeria, szale oraz inne poręczne towary, które chętnie wywyższają się ponad swe bezwartościowe sąsiedztwo. Leżą wystawione na widok publiczny w walizkach, równie tanich jak one same i wymagają poważnego zainteresowania. Ale choćby się nie wiem jak nadęły – nie przestaną w ten

[1] *Historia życia prywatnego. Od rewolucji francuskiej do I wojny światowej*, t. 4., pod red. M. Perrot, red. wydania polskiego: A. Łoś, tłum. t. 4: A. Paderewska-

-Gryza, B. Panek, W. Gilewski, Wrocław 1999, s. 516–517.

spółność należeć do otaczającej je hołoty. Wygnano je ze sklepów i teraz żyją w mieście straganów tym samym życiem włóczęgów co reszta owej zgrai oraz sprzedawcy przy stołach i stoiskach. Zjawy ze szpar ziemnych i mebli współistnieją bez trudu z odrzutkami społeczeństwa” [2].

Kracauera odrzuca od tego miejsca pospolitość, bezużyteczność zgromadzonych przedmiotów; ogląda je z daleka, nie dotyka ich, trochę się ich brzydzi.

Sześćdziesiąt lat później Susan Sontag opisem targu staroci rozpoczyna swoją powieść *Miłośnik wulkanów* (1992).

„To jest wejście na pchli targ. Żadnych opłat. Wstęp wolny. Nie dbały tłum. Lisi, figlarny. Po co wchodzić? Co się tutaj spodziewasz zobaczyć? Ja widzę. Sprawdzam co istnieje w świecie. Co zostało, co odrzucono. Co już nie jest w cenie. Co trzeba poświęcić. Co czymś zdaniem może kogoś zainteresować. Ale to rupiecie. To tutaj, już zostało przebrane. Chociaż tam może być też coś wartościowego. Właściwie nie wartościowego. Ale coś, co ja chciałabym mieć. Co chciałabym ocalić. Coś, co do mnie przemawia. Do moich tęsknot. Przemawia do, przemawia o. Ach...

Po co wchodzić? Czy naprawdę masz czas do stracenia? Będziesz patrzeć. Będziesz się szwendać. Stracisz poczucie czasu. Myślisz, że masz go dosyć. To zawsze trwa dłużej niż się spodziewasz. Potem się spóźnisz. Będziesz zła na siebie. Będziesz chciała zostać. Będziesz miała pokusę. I wstręt. Te rzeczy są brudne, niektóre połamane. Poreperowane byle jak, albo i wcale. Będą mi mówić o pasjach, mrzonkach, o których nie muszę wiedzieć. Muszę. Ależ nie. Nie potrzebuję żadnej z tych rzeczy. Niektóre będę pieścić wzrokiem. Niektóre lubię podnieść, pomacać. Ich sprzedawca będzie mnie bacznie obserwował. Nie jestem złodziejką. Prawdopodobnie nie jestem też nabywcą.

Po co wchodzić? Tylko żeby się pobawić. Zabawa w poznawanie. Wiedzieć, co to było i za ile, za ile być powinno i za ile będzie kiedyś. Ale chyba nie po to, żeby licytować, targować się i wejść w posiadanie. Tylko patrzeć. Wędrować. Czuję się lekko. Nie myślę o niczym szczególnym.

Po co wchodzić? Jest wiele miejsc takich jak to. Pole, plac, zakapturzona ulica, zbrojownia, parking, moło. To mogło być wszędzie, choć jest akurat tutaj. Będzie pełne wszystkich miejsc. Ale wejdę akurat tutaj. W dzinsach, jedwabnej bluzce i tenisówkach: Manhattan, wiosna 1992 roku. Spodłone doświadczenie czystej możliwości. Ten tu z pocztówkami, na nich gwiazdy ekranu, tamten z tacą pierścionków Nawaho, ten znów z pękiem kurtek lotniczych z czasów drugiej wojny światowej, inny z kolekcją noży. Jego modele samochodów, jej półmiski z rżniętego kryształu, jego wiklinowe fotele, jej cylindry, jego rzymskie monety, a tam... klejnot, skarb. Tak mogłoby się zdarzyć, mogłabym to zobaczyć, mogłabym tego chcieć. Mogłabym to kupić jako prezent,

[2] S. Kracauer, *Ulice*, przeł. K. Wierzbicka, „Literatura na świecie” 2001, nr 8–9, s. 315.

tak, dla kogoś innego. Przynajmniej mogłabym się dowiedzieć, że to coś istnieje i że pojawiło się akurat tutaj.

Po co wchodzić? Czy nie dosyć tego? Mogłabym się dowiedzieć, że tej rzeczy tu nie ma. Cokolwiek to jest, często nie jestem pewna, mogłabym odłożyć to na stół. Kieruje mną pożądanie. Mówię sobie to, co chcę usłyszeć. Tak, już dosyć. Wchodzić”[3].

To zupełnie inny punkt widzenia. Oddający chaos miejsca, brud, ale i ciekawość tego, co odrzucono, co uznano za niepotrzebne, wstydlive, niemodne. A co najważniejsze chęć ocalenia czegoś, co w niejasny sposób do nas przemawia, wciąga nas w przeszłość, wspomnienia, w osobisty kontakt ze sprzedającym.

Minęło trzydzieści lat; jest rok 2022.

Co skłania klientelę dzisiejszych targów staroci do zakupu pojedynczego talerzyka, kałamarka w kształcie psiej głowy, starej brzytwy w oryginalnym opakowaniu, haftowanej makatki, ogromnej patery... Nie chodzi o to, że te przedmioty są tanie, ponieważ nie zawsze są takie. Dzisiaj te przedmioty stare, oryginalne pełnią trochę inną funkcję, niż pełniły kiedyś. Czy chodzi o postawę proekologiczną? Chcielibyśmy, żeby tak było, ale w tym przypadku owa postawa realizuje się raczej nieświadomie, bo kupione przedmioty z likwidacji mieszkań faktycznie nie trafiają na śmietnik.

Co zapewnia dziś targ staroci, który Siegfried Kracauer potraktował jako wielkie śmietnisko?

Znalezienie czegoś starego, czegoś oryginalnego, przedmiotu kolekcjonerskiego? Tak było zawsze. Wykluczam jednak z tych refleksji kolekcjonerów, gotowych od 5 rano poszukiwać na targu turkusowego talerzyka, srebrnej skarbonki czy pocztówki wysłanej z Baden Baden w roku 1900. Wykluczam także te rejony pchlego targu, w których, jak w Paryżu, w eleganckich sklepach usytuowanych na wzór XIX-wiecznych pasaży przesiadują wykwintni antykwariusze, oferujący mniej lub bardziej autentyczne meble z XVII i XVIII wieku, ryciny, szkice, obrazy.

Chodzi o tę część targowiska, w której towary wystawiają likwidatorzy mieszkań z Belgii, Niemiec, Francji; rozkładają na gazecie przedmioty niewiadomego pochodzenia przyjezdni z podmiejskich miejscowości – dwie filiżanki, wazon w malowane kwiaty, trzy łyżeczki i dwa widelce z monogramem. Chodzi o te sponiewierane przedmioty leżące w kartonach, z likwidacji domów, porządkowania piwnic i strychów. Zwykło się mówić w takich sytuacjach, że te przedmioty dostają nowe życie, ale skąd się bierze ta potrzeba w epoce nadmiaru rzeczy, przedmiotów, ubrań, które wymienia się co sezon?

Współczesne zakupy na targu staroci to, w moim przekonaniu, przede wszystkim ucieczka przed unifikacją. Spróbujcie w czasie dłuższej podróży wynająć kolejno mieszkania w Warszawie, Pradze, Budapeszcie, Bukareszcie, Sofii... Wszędzie w prywatnych pokojach

[3] S. Sontag, *Miłośnik wulkanów*, przeł. J. Anders, Warszawa 1992.

odnajdziecie te same skręcane meble z Ikei, te same lampki, kubki, talerzyki, sztuce i plakaty w antyramach. Tanie, praktyczne, wygodne. Łatwe do utrzymania w czystości. Nadają się doskonale na wynajem. Nie dla siebie, dla „obcych”. Powoli mija bowiem czas, gdy Ikea ze swymi półteatralnymi inscenizacjami mieszkań była dla wielu ludzi rodzajem wielkiego żurnalu z zachodnioeuropejskim stylem życia. Już od sobotniego przedpołudnia i w niedzielę trzypokoleniowe rodziny oglądały w sklepach Ikei ten „styl zachodni”, szukając w nim inspiracji dla uzupełnienia własnej meblościanki z lat 60. XX wieku czy starego kredensu. Dziś ci sami entuzjaści „szwedzkiego szczęścia” szukają czegoś wyjątkowego, oryginalnego, niepowtarzalnego, choć niekoniecznie potrzebnego: wazy na zupę rakową, karafki, talerzyka, obudowy zegara z kukułką bez mechanizmu. Te przedmioty z przeszłością („cudzą przeszłością”) nadają wnętrzą niepowtarzalny koloryt, oryginalny sznyt, którego nie znajdziemy w Ikei. Uruchamiają wyobraźnię, ale to nie wszystko.

Sukces Drew Pricharda z programu „Łowcy staroci”, jego wybory i sugestie dotyczące dalszych losów kupionego przedmiotu są także interesujące z innego, kulturowego powodu. Otóż Drew reprezentuje „europejski” stosunek do uratowanych przed śmietnikiem starych przedmiotów bez względu na to, czy jest to XVIII-wieczna komoda, stół rzeźnicki czy skromny bibelot. Wyczyść go – mówi – sklej, niech będzie przedmiotem użytkowym, ale zachowaj jego oryginalny charakter, niech pozostaną na nim ślady użytkowania, rysa, wgniecenie, niech pozostanie zapisana na nim jego historia.

Przeciwieństwem takiej postawy jest „amerykański” stosunek do przeszłości. W amerykańskim programie „Na ratunek starociom” właściciele dużej firmy zajmującej się rozbiórką starych domów przeznaczonych do zburzenia ratują co się da: stare okna, futryny, zlewy, armaturę, obudowy kominków, schody, balustrady, cegły, kolumny... Jest to zachowanie stawiające zdecydowanie bardziej na ekologię (uratowane elementy architektury zgniecione buldożerem nie wylądują na śmietniku) niż dążenie do zachowania oryginalnego, historycznego wyglądu artefaktu. Odzyskane przedmioty zostają następnie poddane w tej samej firmie, przez inną grupę pracowników, „przeróbce”, recyklingowi. Z oryginalnej XIX-wiecznej etażerki powstaje stolik, z kolumny – ławka, ze stolika – biblioteczka, z biblioteczki – stolik kawowy. Z punktu widzenia historyka sztuki, antykwariusza, przedmioty te są w gruncie rzeczy utylizowane. Przerabiane, łączone ze współczesnymi elementami, przemalowywane, lakierowane na czerwono przestają być tym, czym były. Z ekologicznego punktu widzenia to działanie zasługujące na najwyższą pochwałę. Z punktu widzenia antykwariusza czy po prostu entuzjasty staroci wygląda to zupełnie inaczej.

Ten „amerykański” punkt widzenia daje o sobie znać także w innych sytuacjach. W popularnym amerykańskim programie „Gwiazdy lombardu” co jakiś czas do tytułowego lombardu trafia stary, oryginalny przedmiot (XIX-wieczna kasa sklepowa, pozytywka, gra zręcznościowa,

szafa grająca). Wszystko to zostaje dokładnie wyczyszczone, naoliwione, pomalowane, polakierowane, przygotowane do użycia, choć zapewne nikt nie będzie dziś korzystał z XIX-wiecznej kasy sklepowej. „Amerykański” stosunek do starych przedmiotów zakłada bowiem ich pełną przydatność, funkcjonalność, sprawność i użyteczność – tylko to się liczy, a nie wartość historyczna, estetyczna czy, nie daj Boże, emocjonalna przedmiotu.

Emocjonalność i użytkowość, a także recykling, ekologiczny punkt widzenia ratują przedmioty przed wysypiskiem. Przyznam, że ciekawsza wydaje się ta pierwsza, „europejska” perspektywa. Wróćmy jednak do naszych kartonów po bananach z zawartością drobnych przedmiotów z likwidowanych mieszkań. I zastanówmy się, a przyjmuję w tym miejscu wyłącznie polską perspektywę, czy pozbawiona mechanizmu obudowa do zegara z kukułką znalazłaby chętnych w latach powojennych, 50., 60., 70....? Bezpośrednio po wojnie ważne były przedmioty użyteczne, przydatne, sprawnie działające, w następnych dekadach – nowe. To one: nowe wersalki, komplet talerzy z Chodzieży, mebleścianki Kowalskiego wyznaczały status właściciela, określały jego zamożność, zaradność i gust. A potem pojawiła się Ikea, z jej „zachodnim” stylem urządzania wnętrz, bibelotami jak z żurnala, plakatami z mostem Brooklyńskim w nocy i wieżą Eiffla we mgle. I ten świat z fabryk i magazynów Ikea – łatwy do skrócenia, praktyczny, sterylny, ekologiczny (przynajmniej w reklamie) zawładnął ikonosferą codzienności w całej Europie i nie tylko. Kiedy wszyscy mają już wszystko lub prawie wszystko, co potrzebne do życia, naturalne stało się poszukiwanie czegoś indywidualnego, oryginalnego, a także czegoś, co niesie na sobie jakiś ślad historii, dotyk czyjegoś istnienia, jest symbolem trwałości w czasach, w których przedmioty służą nam rok, dwa, trzy lata.

To nie zawsze jest świadomym „ratowaniem historii”, to raczej refleks związany z niewiarygodnym przyspieszeniem codziennej egzystencji, jakiego wszyscy doświadczamy w ostatnich dwudziestu, trzydziestu latach. Żyjemy w czasach wyjątkowo szybkiej globalizacji, ekspansji mediów elektronicznych, które zrewolucjonizowały komunikację między ludźmi, odzierając ją często z osobistych kontaktów. Można oczywiście powiedzieć, że to nic nowego. Od XVIII stulecia każde pokolenie narzekało na coraz większe tempo życia, zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku. W pierwszych latach XX wieku Maksym Gorki, po zobaczeniu kinematografu, uznał, że ten rodzaj „błyskawicznej” atrakcji doprowadzi nas, w zbyt szybko zmieniającym się świecie, „do utraty sił nerwowych”. Świat mediów elektronicznych doprowadził do przyspieszenia, mobilności ludzi i informacji na skalę dotąd niespotykaną. Czy nie jest czasem tak, że owo „przyspieszenie” budzi w nas poczucie zagubienia, więcej, stwarza wrażenie przekreślenia, zamazania przeszłości z epoki „sprzed elektronów”.

Może zainteresowanie „śmieciami” wyrasta nie tylko z ucieczki przed unifikacją, lecz również z chęci ratowania tego, co heterogeniczne, inne, wykluczone. Wyrasta z chęci zachowania świata w innym

wymiarze, do którego nie możemy już powrócić. Może dlatego kupowane przedmioty często pozbawione są funkcjonalności, za to ze śladem czyjegoś istnienia. Śmieci/starocie z zapisem czyjegoś użytkowania, historii, ważne są dziś, gdy bez trudu najnowsze techniki reprodukcji pozwalają uzyskać idealną cyfrową kopię Caravaggia, Friedricha, Rembrandta, Hoppera. Czy ktoś próbował już wydrukować w technologii 3D kopię rzeźby Michała Anioła? Pewnie nie, ale to tylko kwestia czasu.

Przedmioty odnalezione na śmietniku mogą pełnić funkcję podniosłą, np. monogramy na pojedynczych łyżeczkach kupionych na targu; mogą też zostać podniesione do rangi dzieła sztuki (np. landszaft, obraz malarza niedzielnego), ale nie tylko. Przyniesione z targu staroci „śmieci”, przedmioty ze strefy niskiej, możemy zachować z całą ich realnością, codziennością jako świadectwo czyjejs egzystencji, obecności, trwania, czyjejs biografii. Z tej potrzeby posiadania czegoś trwałego, starego, z historią wyrosła zupełnie nowa moda. Moda na rzeczy zniszczone, udające „starość” – nowe meble ze specjalnie przecieraną farbą, sugerującą wielokrotne malowanie, reprodukcje malarskie z „autentyczną” krakelurą, gipsowe ramy ze sztucznymi odpryskami.

W kartonie zawierającym drobiazgi z domu zlikwidowanego w podparyskim miasteczku znalazłam bardzo gruby brulion w kratkę. Starannym równym pismem francuska gospodyni domowa, poczynając od 1 stycznia 1940 roku, zapisała w nim ze szczegółami, dzień po dniu, 365 przepisów na trzydaniowe obiady. Sądząc po charakterze pisma, planowała je z kilkudniowym wyprzedzeniem. 14 czerwca, w dniu wkroczenia niemieckich oddziałów do Paryża miała ugotować zupę krem ze szparagów, na przystawkę zaplanowała paluszki z serem i szynką, na danie główne panierowane łapki wieprzowe, a na deser biszkoptowe ciasto Pompadour. Następnego dnia domownicy mieli zjeść krem z kawioru i rukwi wodnej, język wołowy w sosie chrzanowym i krem czekoladowy à la Marie Therèse. Oczywiście można ten zbiór przepisów potraktować użytkowo. Czy kiedykolwiek ugotuję coś z tej domowej książki kucharskiej? Raczej nie, nawet na pewno nie, ale jest ona dla mnie świadectwem czyjejs codziennej egzystencji, pewnego stylu życia, wysiłku włożonego w tę szczególną sztukę, jaką jest zaprojektowanie i przygotowanie (!) obiadów na 365 dni w roku.

Ta prywatna książka kucharska, uwzględniająca zapewne osobiste upodobania domowników, doskonale wpasowałaby się w wielkie ambaláže Kantora, jak ten z 1963 roku w Krzysztoforach zatytułowany *Przedmiot odnaleziony*[4]. Artysta wypełnił „Wystawę popularną” 837 OBIEKTAMI – szkicami, rysunkami, manifestami, a także receptami, przepisami, notatkami, starymi gazetami.

Każdy przedmiot z targowiska ma swoją historię, swoją rolę do zagrania i czasami właśnie myśl o tej roli skłania publiczność targowiska

[4] M. Porębski, *Przedmiot odnaleziony*, [w:] *Deska. T. Kantor. Świadectwa. Rozmowy. Komentarze*, Warszawa 1997, s. 170–175.

do zakupu. Może jest tak, jak pisze Mieczysław Porębski w odniesieniu do starych gazet, przepisów, recept u Kantora, że jest w tym świadectwo lęku przed losem, śmiercią, pustką.

Co zatem skłania bywałców targów staroci do grzebania w śmietniku przypadkowych przedmiotów z czyjegoś mieszkania, wrzuconych do kartonów byle jak, wielokrotnie przejrzanych przez bliższych i dalszych krewnych? Dlaczego wyciągają z tego stosu tandetną ramkę ze zdjęciem szeregowców z czasów Wielkiej Wojny albo haftowany obrazek z niemieckim tekstem o dobrej gospodyni, albo rzeźbę piramidy z podpisami kilkunastu osób i datą 1951, albo drewnianego żuka z napisem Mexico 1952, albo...

Chęć znalezienia czegoś wyjątkowego, niepowtarzalnego, co uchroni nas przed unifikacją – to na pewno. Ale także coś jeszcze, co – jakkolwiek by to banalnie zabrzmiało – jest dotknięciem przeszłości, historii. Świata, w którym relacje między ludźmi były bardziej osobiste, a przedmioty i przyjaźnie bardziej trwałe. Kartonowe śmietnisko wciąga nas także dlatego, że to dla nas, mniej lub bardziej uświadamiany, znak straty, ślad czyjegoś istnienia, które nie zapisało się w inny sposób, empatyczne wyobrażenie kogoś nieznanego, kogo nigdy nie poznamy, a jednak jego obecność zaznaczyła się, jak w tym francuskim zeszycie z przepisami na 365 obiadów z 1940 roku. Być może to także symptom społecznego zagrożenia, lęku przed utratą bezpowrotnie minionego świata z jego wartościami i trwałością, chęć poszukania bardziej intymnej relacji z czasem bezpowrotnie utraconym.

Baudrillard J., *Spółczesność konsumpcyjna. Jego mity i struktury*, przeł. S. Królak, Warszawa 2006

Benjamin W., *Anioł historii. Eseje, szkice, fragmenty*, wybór i opracowanie H. Orłowski, Poznań 1996 (zwłaszcza rozdział *Paryż – stolica dziewiętnastego wieku. Ludwik Filip albo wnętrza*, s. 326–327)

Eco U., *Podziemni bogowie. Wybór szkiców*, przeł. J. Ugniewska, P. Salwa, Warszawa 2007 (zwłaszcza rozdział *Dwa rodzaje przedmiotów*, s. 246–248)

Hendrykowski M., *Ogród Europy. Eseje z mitologii i kultury Starego Kontynentu*, Poznań 2018 (zwłaszcza esej *Camden Lock*, s. 149–159)

Historia życia prywatnego. Od rewolucji francuskiej do I wojny światowej, t. 4, pod red. M. Perrot, red. wydania polskiego: A. Łoś, tłum. t. 4: A. Paderewska-Gryza, B. Panek, W. Gilewski, Wrocław 1999

Kracauer S., *Ulice*, przeł. K. Wierzbicka, „Literatura na świecie” 2001, nr 8–9, s. 287–325

Porębski M., *Przedmiot odnaleziony*, [w:] *Deska. T. Kantor. Świadectwa. Rozmowy. Komentarze*, Warszawa 1997

Sontag S., *Miłośnik wulkanów*, przeł. J. Anders, Warszawa 1997

BIBLIOGRAFIA